NUMER 13. DNIA 27. MARCA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

FELIKS GWIŻDŻ.

Grają mi skrzydła wichrowe...

Grają mi skrzydła wichrowe — grają mi pięknie
O tem, że będę miał duszę dumną i śmiałą
I że ta dusza nigdy przed nikim nie klęknie
I że w swych troskach i czynach będzie wytrwałą.

Grają mi skrzydła wichrowe, pięknie mi grają — —
Słucham i patrzę na pola — srebrny śnieg pada — —
Dobrze mi — cicho... Śnieg tańczy — lasy konają...
Słyszę płacz gęśli... Przedziwna łka w nich ballada.
Smętna melodja gęślana woła mię w dale —
Idę... Śnieg wije się biały — dzwony gdzieś łkają...
Poza chmurami goreją gwiazdy-opale...
Idę... Hej! Skrzydła wichrowe pięknie mi grają.

Grają mi skrzydła wichrowe — grają mi pięknie
O tem, że będę miał duszę dumną i śmiałą
I że ta dusza przed nikim nigdy nie klęknie
I że w swych troskach i czynach będzie wytrwałą.

Zakopane.

Styl zakopiański.

Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie wyszedł pierwszy zeszyt dzieła, będącego zbiorem projektów czterech najwybitniejszych dziś pracowników w dziale sztuki stosowanej polskiej. Projekty te odnoszą się do mebli pokoju jadalnego, to znaczy do stołu, stołków, krzeseł i kredensu. Pan Stanisław Witkiewicz napisał treść, będącą zebraniem w całości tych cech, któremi się góralszczyzna jako odłam sztuki ludowej, „styl zakopiański“, odznacza. Z jasnością przekonywującą podniósł poszczególne koleje uznania i lekceważenia, jakie przechodził styl zakopiański wraz z ludźmi, którzy go bronili i którzy dla niego pracowali. Zaprawdę, trzeba było wielkiej siły apostolskiej tej garści ludzi, która zgrupowała się około Witkiewicza, aby przełamać mieszczańską i szlachecką niechęć do „chamskiej“ sztuki i w rezultacie zrobić to, co się do dziś zrobiło. Nie myślę dawać szczegółowego sprawozdania z tego co napisał o tem wszystkiem p. Witkiewicz. Są rzeczy, których streścić nie można inaczej, chyba powtórzywszy dosłownie rzecz już napisaną przez autora, tak całość jest żelazem logiki i zwięzłości ze sobą związana. Taką właściwością odznacza się i to, co pisał p. Witkiewicz a jeśli dodamy przedmiotowość sądu złączoną z gorącem ukochaniem sprawy, to nie możemy dość wymownie polecić do przeczytania tych kilkunastu kart każdemu, którego interesuje walka o osobowość kultury rodzimej... z własnem społeczeństwem.

Jedno tylko podnieść należy, oto wycieczkę przeciwko tym „przyjaciołom“ sztuki ludowej, którzy czasem nierozumną przyjaźnią więcej szkody, niż pożytku sprawie przynoszą.

Są to wszyscy ci, którzy „sztukę przyjmują z zasady, którzy nie wżyli się w ducha ludu i wyobrażają sobie, że niedokładność, nieczystość kształtu stanowi istotę charakteru sztuki ludowej“. „Jeżeli jednak snycerz ludowy nie osiągnął doskonałości kształtu, to jedynie dlatego, że nie mógł, wskutek warunków technicznych, a bynajmniej nie dlatego, żeby zaniedbanie, niedokładność, niedołęstwo form zdobniczych było jego ideałem. Przeciwnie ma on tak doskonałe poczucie tego idealnego stanu swojej sztuki, że widząc, jak przy zmianie na lepsze warunków technicznych forma jego ornamentów się udoskonala, nie może powstrzymać objawu szczerego zachwytu. A ponieważ nikt nie zgodziłby się zredukować swoich potrzeb do niższego poziomu przeto... trzeba się pogodzić z tem, że ludu żadna siła nie zamknie w tych granicach życia, w jakich go ktoś ujrzał n. p. w r. 1904, że z ludu nie można zrobić pamiątki zamkniętej w jakimś zbiorze zabytków etnograficznych. Lud stanowią ludzie, których psychologja tak samo jak nasza nie znosi zastoju i martwoty! (str. 14. Styl zakopiański).

Złote słowa powyższe powinien sobie zapisać w pamięci nietylko miłośnik sztuki ludowej i nietylko artysta odtwarzający motywy ludowe w polskiej „sztuce stosowanej“.

Przejdźmy obecnie do zawartości tablic.

A tout seigneur, tout l'honneur.

Zaczynam od Stanisława Witkiewicza. Bez tego „dziwnego człowieka“ byłoby chyba do dziś bardzo nie wiele z tego, co jako styl zakopiański głośnem jest już po za granicami ziem polskich.

Nim się społeczeństwo opamiętało, nim autorytety namyśliły się należycie czy się sprzeciwić, czy pochwalić „współczesne usiłowania“, już powstał szereg will-dworców wiejskich w Zakopanem i poza Zakopanem, wraz z cudną willą pod Jedlami pp. Pawlikowskich na Kozińcu, wraz z meblami dla prof. Potkańskiego w Krakowie i Sienkiewicza do Oblęgorka.

Ołtarz i kaplica wystawiona przy kościele Zakopiańskim sumptem p. Zygmunta Gnatowskiego z Wołynia z dekoracją wewnętrzną, stanowiły sztukę kościelną wypowiedzianą w formach zakopiańskiego stylu.

Słowem szereg czynów artystycznych od roku 1886, którego data widnieje w półsłoneczku na okładce „stylu zakopiańskiego“.

Te czyny artystyczne podziałały zwłaszcza silnie na wyobraźnię laików, którzy dopiero poczęli przeć na twórców w Polsce, każąc im projektować wille i meble w tym stylu, którego pierwsze okazy wyrosłe z chat góralskich, widzieli pod Giewontem.

A chociaż masowy pierwotny zapał ostygł, a zwłaszcza w Warszawie surowe okazy sztuki góralskiej na wystawie „sztuki stosowanej“ pokazane, nie trafiły do gustu miarodajnego tam mieszczańskiego podniebienia, to przecież dziś i najostrzejsze krytyki p. Czesława Jankowskiego samej sprawy odrodzenia sztuki z ludu nie zabiją.

Otóż „styl zakopiański“ mieści w sobie szereg projektów mebli, noszących na sobie, powiedziałbym, klasyczne znamię twórczości Witkiewicza.

Kredensy, półki, część boazeryi pokoju jadalnego w Oblęgorku, krzesła, stoły, taburety i żandinierki, przewijają się karta po karcie.

Wszędzie zasadnicze cechy wiązania i zdobniczość wzięte ze stołków, półek, parzenic i łyżni-

ków, związanych ze sobą góralską logiką, mimo, że sprzęty już materjałem i wykończeniem daleko odbiegły od góralskiego życia.

Jedyną rzeczą wolniejszą, na którą sobie Witkiewicz pozwolił, to realistyczna paproć, to szczególnej odmiany oset góralski, albo fryz (staciwa) z niedźwiedzi idących na łów w hale.

Ale i takie zboczenie jest zrobione jeśli nie w charakterze sztuki, to życia i tła miejscowego góralskiego.

Meble Witkiewicza są klasyczne „zakopiańskie“, to znaczy, że motywy góralskie są stosowane z pietyzmem i bezgranicznem poszanowaniem miejscowego charakteru.

Śladem Witkiewicza szedł również w swoich projektach Wojciech Brzega, syn góralski, w którego w którego dłoniach zachowała się doskonała zdolność snycerska, pokoleniami na Podhalu wyrabiana.

U wielu mebli strona zdobnicza jest wykonaną własnoręcznie z przedziwną miarą i czuciem, jakie się wytwarza długiem zżyciem się z takim materjałem, jakim jest drzewo.

W stylu klasycznym zakopiańskim wykonane też zostały wszystkie projekty artysty-malarza dekoracyjnego z prastarego Gniezna, p. Wiktora Gosienieckiego. Krzesła, stoły i kredense są zrobione z całą ścisłością wedle motywów, które p. Gosieniecki poznał w czasie swego pobytu w Zakopanem.

P. Wiktor Gosieniecki, przebywający obecnie we Lwowie, należy do tego najmłodszego pokolenia Wielkopolan, którzy ścisłość i systematyczność niemiecką, połączoną z lotną polską inwencją, złożyli zupełnie bez zastrzeżeń na ołtarzu kultury swoistej. Zdobywszy w Monachjum wysoką technikę rysowniczą i malarską, pracuje w kraju nieustannie, studjując dawną twórczość artystyczną, i nasycając zgłodniałą na wrażenia duszę atmosferą rdzennej polskiej kultury.

Osobny dział w projektach stanowią prace p. Barabasza, dyrektora szkoły dla przemysłu drzewnego w Zakopanem.

P. Barabasz rozmiłował się w Zakopiańszczyźnie, odbywa wraz z p. Brzegą częste wycieczki to w stronę Babiej góry, to na Spiż, ciągle gromadząc motywy i zabytki dawnej góralskiej sztuki. Stąd trafia się u niego często motyw oryginalny, choć z góralszczyzną zupełnie związany, bo odkryty gdziekolwiek na uboczu, kędy nie dosięgły ani badania ś. p. Matlakowskiego, ani oko Witkiewicza.

Żałować należy, że w meblach jego projektu, noszących już wybitny wpływ „secesji“, widnieje pewne lekceważenie połączeń drzewnych tak typowych dla polskiej sztuki ludowej. Zwłaszcza widać to przy stołach, gdzie psy łączące nogę z deską, podpierającą płytę stołową, są czopowane po niemiecku, wbrew typowym naszym tradycjom. To mu poczytuję za grzech większy, niżeli secesjonizowanie mebli.

To ostatnie o ile bowiem ograniczy się do kultury linji, może naprawdę czasem uszlachetnić formy zakopiańszczyzny i być bardzo wdzięcznem uzupełnieniem góralskich czasem w ogólnych proporcjach za surowych form dla takiego delikatnego sprzętu, jakim jest współczesny pokojowy mebel.

„Styl zakopiański“ stanowi doniosły przyczynek do prac z działu polskiej sztuki stosowanej, i z pewnością dla wszystkich, którzy tworzą i wyrabiają meble użytkowe, jak dla architektów, artystów, rysowników i stolarzy będzie przydatnym i doskonałym przewodnikiem, tembardziej że cena księgarska w porównaniu z podobnemi wydawnictwami niemieckiemi i francuskiemi jest niską (4 złr.), a wydanie wytworne.

Kazimierz Mokłowski.

JAN ŚWIERK. 13)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Za tę różową suknię dla blondyny z dużym warkoczem, do tej pory dostała ciocia zaledwie 7 zł., a za gipiury żyd już chciał szafę sekwestrować.

Kuzyn Jerzy, odkąd ją poznał na raucie wtedy, mniej do cioci przychodzi, bywa tam jako konkurent i zakochany jak powiadają po uszy.

Ile razy słyszę o tej pannie, niecierpliwię się i gniewam, nie wiem czemu. Coś, jakby przeczucie szepce mi zawsze: — raz ci w drodze stanęła — oby nie zrobiła tegoż i drugi raz.

Lecz schwyciwszy myśl mą na takiem przypuszczeniu, wstydzę się. Jest to niskie i niby w wiarę fatalizmu oplątane przypuszczenie. Cóż ona winna temu, iż ja nie chodzę do seminarjum? Ona miała takie samo prawo do zapisania się tam na naukę, jak ja, jeśli ją przyjęto — mnie nie, to inna rzecz, ja wszakże niepowinnam jej za to nienawidzieć. Jeśli

ona stroi się, bawi, a cioci za robotę winna jest, to znowu rzecz inna... Cóż ona winna, iż jej w wychowaniu nie wysubtelniono ducha w pojęciach tego co godziwe, szlachetne i dobre, a co złe i nieszlachetne...

Wszyscy my podlegamy jednemu i temu samemu zaraźliwie grasującemu błędowi: — wyszukiwania u ludzi wad. Jest ich w istocie wiele, ale lepiej by było ich nie szukać.

Na nowem mieszkaniu lepiej cioci idzie.

Roboty wiele, więc chociaż i tak niewypłacalność dokucza, ale zawsze jakoś ciocia sobie poradzi. Kuzyn Stach pomógł tem, iż płaci za wikt i mieszkanie.

Za trzy suknie, robione na wieś, dostała ciocia gotówką zaraz, co z dodatkami wyniosło przeszło 50 zł.. Nawet kupiła ciocia ziemniaków za 4 zł., węgla za 6 zł.

Ja siedzę całemi dniami przy szyciu i teraz jadam obiad razem, więc i z kuzynem Stachem i wujem schodzę się przy stole.

Rozmowa nieraz bardzo zajmująca.

Zdania ostro się ścierają. Wuj zawsze powie coś takiego, na co się Stach nie może zgodzić, poczynają więc obaj walczyć, a my z ciocią słuchamy. Lecz nie — ciocia nie ma czasu słuchać. Najczęściej zdarzy się, że w południowej porze najwięcej pań przychodzi albo do próby, albo dla nowych zamówień. Dla pań widocznie pora południowa wygodna jest, wychodzą sobie na przechadzkę lub na odwiedziny i wstępują do „salonu mód“, ale nie pomyślą o tem, iż krawcowa ma właśnie teraz chwilę na spoczynek, gdy panny się rozejdą.

Ledwie wbiegła ciocia z salonu i Marysia podała jej talerz z rosołem, już trzeci raz grzanym, gdy znowu ktoś dzwoni.

Ciocia zrywa się.

— Proszę już zjeść, powiadam na to, ja wyjdę do gości tymczasem.

Zostawiłam kaszę na talerzu, odpięłam fartuszek i wchodzę do saloniku.

Jakieś dwie panie starsze i młoda panna, dość ładna.

— Gdzież krawcowa?

— Zaraz przyjdzie. Teraz obiad.

— My się bardzo spieszymy, nie możemy czekać.

Usłyszała to widocznie ciocia, bo weszła.

— Moje uszanowanie! Padam do nóżek! czem mogę służyć?

A panie, ani kiwnąwszy głowami, rozkazująco dyktują:

— Dla mnie kostjum zimowy, z obłożeniem pluszowem. Dla panny kostjum na ślizgawkę, ale wykończony z wiedeńską starannością..

— U mnie każda rzecz odrobiona jest bardzo starannie, proszę obaczyć ten żakiet, co za fason i jakie obszycie, wszyscy chwalą moją robotę..

— Dziurki nieszczególne, ten stęben za gruby, o!... ta zaszewka szkaradnie odprasowana... już to nie dorówna nigdy wiedeńskiej robocie..

— Staramy się robić jak najlepiej, tłumaczy się ciocia, tylko niektóre osoby bardzo są uprzedzone do tego wszystkiego, co w kraju robione; jakże pani sobie życzy kostjum na ślizgawkę — może wedle tego, najświeższy fason..

Wybierają i wybierają.. aż mdło się robi słuchać. Obiad nasz dawno skończony, Maryśka dawno posprzątała, cioci mięso i kasza grzeje się na blasze, już panny wróciły do roboty, a ja jeszcze ciągle słyszę:

— Rękawy nie takie, lepsze wedle tego wzoru. Kołnierz dla mnie podobny do tego, do kostjumu na ślizgawkę szeroki kołnierz.. albo nie, lepiej tak jak tu.. co?.. to się mamie podoba? za nic w świecie, staroby wyglądało, tak, widzi mama, miała Żancia bordeau suknię, ale to prawdziwa wiedeńska była.. kieszeń wedle tego, trochę wyżej..

Siedzę z robotą najbliżej salonu i mimowoli podsłuchuję. Tyle czasu, tyle gadaniny, tyle umęczenia cioci i o co?.. o bagatele, drobnostki.. Jakże jabym nie miała cierpliwości na to.. o!.. nawet nie wiem, co jabym zrobiła, gdyby mi kto tak dokuczał jeszcze w sposób sztywny, rozkazujący, wprost z góry, jak do służącej już dziś nawet nie mówi się, gdy się ma trochę cywilizacji..

Mówiły, iż nie mają czasu, spieszyły się tak, iż nie dały cioci zjeść łyżki rosołu, a tu już przeszło 3 kwadranse i one jeszcze gadają.

Wreszcie słyszę, jak pytają o cenę..

Więc ciocia przedstawia, od kostjumu na ślizgawkę ze stanikiem i żakietem 10 zł., od kostjumu z żakietem na wacie 12 zł..

— Co? jabym miała płacić tyle za robotę? toż wolałabym z Wiednia sprowadzić gotowy.,

— Z Wiednia, za robotę dwu takich kostjumów policzą dwa razy więcej.

— Ale już będę wiedziała, że mam wiedeńską robotę, nie powstydzę się, każdemu mogę rzec śmiało, to z Wiednia.

Aż drgałam ze złości.

Żebym tak była mogła, poszłabym była do „salonu mód“, a nagadała paniom, iż chyba tylko nikczemni mogą mieć podobne zapatrywania..

Ale ciocia na to nic, ani słówka..

— Niech pani obliczy, czyli ja dużo żądam, fason bardzo pracowity, robota żakieta zajmie dwa dni, stanika nie zrobi się w dwu dniach.. ja nie mogę za niższą cenę zrobić..

I dopiero po godzinie gadania, kiedy ciocia i obiadu nie zjadła i do roboty się spieszy, kiedy umęczyła się z nimi straszliwie, dopiero zaczyna się targ niesumienny, targ w chęci wyzyskania pracy dlatego, iż to praca „swoich“, nie obcych..

I poszły nie zgodziwszy się..

Ciocia przyszła do pracowni z wypiekami na twarzy, potem oblana.. nawet nie mogła i teraz skończyć biednego obiadu, bo panny obstąpiły dokoła wołając:

— Czy tak?

— Nie wiem, czy teraz brać się do bluzki?

— Nie ma pani jeszcze tej koronki z pół łokcia?

W pół godziny — dzwonek.

Kto? znowu te same wielbicielki wiedeńskich magazynów.

Wytargowały jeszcze u cioci 3 zł. 50 centów i robotę zostawiły.

C. d. n.

Etyczna podstawa dramatu „Jan Gabrjel Borkmann“

Henryka Ibsena.

Myśli przewodniej dramatu „Jan Borkmann“ Henryka Ibsena nie pojęła należycie dotychczas, jak sądzę, nasza krytyka, ta przynajmniej, która mi była z pism codziennych dostępną.

Dlatego próbuję postawić taką tezę, któraby potrafiła wyjaśnić przyczynę działania wszystkich osób dramatu z jednego etycznego punktu widzenia, wprowadziła w to działanie harmonję, zaspokoiła widza i czytelnika i znalazła poparcie w dramacie samym i innych dziełach poety. Dołożę przytem starania, by sprawę wyłożyć zwięźle i krótko, nie nadużywając cierpliwości i czasu czytelnika.

Tytuł i rola tytułowa dramatu „Jan Gabrjel Borkmann“ nie jest bynajmniej nazwiskiem bohatera.

Wielcy poeci, przedstawiając w swych dziełach głębokie i subtelne prawdy, skupiają często uwagę widza i czytelnika na wybitnych działaniach zewnętrznych osób, które bynajmniej w myśl przedstawianych zasad nie postępują, ale licznemi i niewyrównalnemi kolizjami ze światem zewnętrznym, wyzywają zmysł badawczy widza do poszukiwania przyczyny tych sprzeczności i szeregiem porównań najrozmaitszych stosunków osób do siebie sprowadzają w końcu do ostatecznej przyczyny działań wszystkich osób, a przyczyną tą jest prawda, którą chce przedstawić poeta.

Tak na zegarze uderza uwagę wielka wskazówka i ruchem oznacza zmiany czasu, ale źródło ruchu ma poza sobą w sprężynie, duszy zegaru.

Tą duszą dramatu nie jest „Jan Gabrjel Borkman“, lecz Ella Rentheim, podobnie jak bohaterką „Wallenroda“ jest Aldona, „Pana Tadeusza“ ks. Robak, dramatu „Bolesław Śmiały“ Wyspiańskiego, Św. Stanisław.

A teraz fabuła i przebieg sceniczny.

Ella Rentheim kochała Jana Gabrjela Borkmanna i bez niego nie widziała celu życia.

On uważał ją za swoje największe dobro. (Akt II. scena 3).

Ale Jan Gabrjel, oprócz miłości dla Elli czuł inny nieprzeparty popęd, popęd do materjalnej władzy. Pragnął zawładnąć miljonami gotówki, które nieużyte leżały w kraju i przy ich pomocy wyrwać skarby z łona ziemi, zużyć siłę wody, założyć fabryki, pobudować kanały — czyli, jakby się dziś u nas powiedziało, kraj uprzemysłowić, a wszystko dla dobrobytu i szczęścia wielu a wielu tysięcy ludzi.

Możność do uskutecznienia tego wszystkiego dawała posada dyrektora banku, którą rozporządzał i mógł mu oddać adwokat Hinkel za cenę opuszczenia Elli, którą sam kochał.

Borkman przystał, ożenił się z siostrą Elli Gunhildą i został dyrektorem banku. Ella odrzuciła miłość Hinkela.

O sposobie, w jaki się zabrał Borkmann do urzeczywistnienia swoich myśli uszczęśliwienia mil-

jonów, dowiadujemy się tylko tyle, że panował, jeździł tylko czwórką, trwonił pieniądze i że był tak wielki, iż go tylko po imieniu, jak króla, nazywali: Jan Gabrjel! Nawet ofiarowano mu tekę ministerjalną — odrzucił! Prawnika jednak, który i na całem dziury wyszuka, działalność Borkmanna nie musiała przekonywać, że skutecznie prowadzi do uszczęśliwienia miljonów, bo Hinkel, pragnąc się zemścić na Elli za ciągłe odprawy, wymierzył cios w przyczynę tych odpraw, przedmiot miłości Elli. Ogłosił listy Borkmanna i wypadki potoczyły się torem znanym do znudzenia: puste kasy, trzy lata aresztu śledczego, pięć więzienia, a potem w sali domu, który był jego własnością, a który Ella kupiła na licytacji i zostawiła mu do użytku (bo własność byliby wierzyciele zabrali) ośm lat oczekiwania w białym krawacie na przyjęcie deputacji, która jego, oszusta, sprawcę ruiny miljonów ludzi w kraju, ma powołać do ratowania nowego banku!

Na takiem oczekiwaniu zastajemy go na scenie, tylko, że zamiast deputacji przychodzi przyjaciel z lat młodości, niedoszły prawnik, poeta, ministerjalny kancelista, Wilhelm Foldal, i w zamian za radę, by raz dał pokój poetycznym bredniom, objaśnia, że niema przykładów, by oszustom kierownictwo banku powierzali.

Ta gorzka prawda sprowadza rozwiązanie. Borkmann postanawia nie czekać dalej deputacji, ale iść w świat i teraz... rozpoczynać dzieło straconego życia od początku.

Od wydarzeń na początku tego opowiadania, upłynęło lat 20. Ella, wskutek wstrząśnień moralnych, zapadła na nieuleczalną chorobę i przyjechała do Borkmannów, których długie lata nie widziała, by ich syna Erharda adoptować, by przywiązaniem do niego zapełnić pustkę ostatnich kilku miesięcy życia, i jako ostatnia z rodu zostawić spadkobiercę imienia.

Ale i Gunhilda ma plany względem Erharda, on ma zrehabilitować nazwisko Borkmannów, które ona nosi, nazwisko, shańbione przez ojca, a tymczasem ojciec używa go do udziału w pracy w dogonieniu ideałów straconego życia.

Erhard atoli ma własne cele.

Znalazł swoje szczęście w sercu Fanny Wilton, której mąż żyje, ale nie istnieje dla niej; obojętny na śmiertelny strach ciotki, bez zapału dla misji, którą matka mu przeznacza, głuchy na wezwania ojca do pracy, odjeżdża z Fanny i córką Foldala, Frydą, która w tem towarzystwie jedzie kształcić się w muzyce za granicę. Borkmann wybiera się więc sam w śnieżną, zimną, wilgotną noc zimową w pogoń za ideałami młodości i Ella nie opuszcza go w tej ostatniej drodze.

W przedśmiertnej agonji majaczeją mu przed oczyma marzenia młodości: skarby wydarte ziemi, opętane siły wodospadów, kanały i fabryki, których stworzyć nie mógł. I tak, jak niegdyś od życia miłości z Ellą oderwał go urok potęgi tych bogactw, tak go teraz za serce chwyta spiżowa ręka i kończy fizyczne życie.

Ella i Gunhilda godzą się nad trupem człowieka, o którego całe życie bezskutecznie walczyły.

Spada kurtyna, a widz wychodzi z takiem uczuciem, jakby w ciemnym kącie zobaczył coś takiego, czego jeszcze nie widział i czego sobie wytłómaczyć nie może.

A więc kim-że jest Borkmann? Czy wielką, prometejską postacią — czy bohaterem?

Od wielkiej postaci wymagamy szlachetności i potęgi. A Borkmann przeszachrował swoją miłość dla kochającej go kobiety za posadę dyrektora banku, wydrwiwa szyderczo, szlachetne, poetyczne popędy przyjaciela młodości Foldala, a obok tych objawów bezwzględności ani jednego szlachetnego rysu. Ale prawda, wszak wszystko poświęcił za moc uszczęśliwienia miljonów. Ale tej mocy nie miał. Wszak to urągowisko, gdy człowiek rwie się do uszczęśliwiania miljonów, złamania i opętania przyrody, a nie ma siły, by sobie zdobyć posadę dyrektora banku.

Zdobywa ją za cenę ludzkiej duszy, po to, by dowieść kompletnej nieudolności, bo środkami, którymi chciał uszczęśliwić,— zrujnował miljony. Ale próbę powtarza się do trzeciego razu. Borkmann upada. Wielkość duszy okazuje się w nieszczęściu.

Bohater nie daje za wygraną i z nieszczęścia upadku kuje broń zwycięstwa. Borkmann ośm lat czeka deputacji, która mu gotową moc i potęgę i szczęście dla miljonów przyniesie.

To nie bohater, to zwykły bankrut; on nawet nie jest negatywą bohatera, wielkim zbrodniarzem, z któregoby w ogniu piekielnym dodatni obraz wielkości otrzymać można, lecz zwykły nieszczęśliwiec, drugi Piotr Gynt, który nawet największej zbrodni, sprzedaży Elli, nie dokonał wyłącznie dla swojego dzieła, ale z obawy, bo nie miał odwagi zabrać w awanturniczą drogę życia swojego największego dobra. Jego duszę musi djabeł na nowo przetopić, bo taka, jak jest, nie daje żadnego wykończone- nawet ujemnego obrazu.

Ale nie ta wewnętrzna słabość Brokmanna sprowadza jego upadek. Przyczyną upadku jest to, że zaparł się swojej miłości do Elli i, co gorsza, jej losem chciał wbrew jej woli na swoją korzyść rozporządzić. Człowiek jest iednak przeznaczony dla

siebie i ani sam siebie nie może się zaprzeć, ani drugiemu dać sobą rozporządzać. Jest to najwyższe prawo moralne, grzech, który według pisma świętego nie będzie odpuszczony. (Akt II. scena 3).

Borkmann za tę zbrodnię spodziewanej nagrody otrzymać nie może, bo Ella, która cel swego życia widzi w Borkmannie, odprawia Henkela, a ten z zemsty niszczy Borkmanna.

Wyrazem obrażonego prawa moralnego i tezą dramatu jest więc Ella i ona do końca sama sobie wierną pozostaje.

Temu samemu prawu służenia wyłącznie sobie, ulegają Fanny Wilton, Erhard i Fryda, choć co do dwojga pierwszych występuje ono już w formie brutalnego instynktu.

Zapatrywanie Ibsena, że najwyższem prawem moralnem jest to, że człowiek jest dla siebie przeznaczony, a największą zbrodnią zaparcie się siebie i nadużycie przeznaczenia drugiego człowieka, przebija się we wszystkich jego dziełach, choć najdobitniej w dramacie „Jan Gabrjel Borkmann“, w dramatycznej epopei „Cezar i Galilejczyk“ i wreszcie w tych scenach dramatycznej epopei „Piotr Gynt“, w których Gynt zarzuca djabłu, że go nie może przetopić, bo on nigdy siebie się nie zaparł i poszukuje na to atestu.

Prawda ta zresztą jest tak stara, jak chrześcijaństwo, ona stanowi różnicę między cywilizacją klasyczną i nowożytną a dla Ibsena jest tylko ulubionym tematem. Ale przez to nie tworzy bynajmniej Ibsen rewolucji ducha i nie podkopuje porządku społecznego, jak to niektórzy głoszą, bo dwie dusze mogą żyć dla siebie w przyjaźni tak, że jedna dla drugiej jest celem. Związek taki, to jak związek cłowy. Ma swoje miary i wagi, swoje ceny wewnętrzne i swoją monetę konwencyjną dla siebie, a nie używa ich w stosunkach z resztą świata.

Jeśli która ze stron mierników tych nie uznaje, związek zerwany, a do oceny stosunku ich do siebie należy używać nie ich umówionej miary, ale miary, jaką się przykłada do stosunków reszty świata.

Foldal np. tak długo uważał Borkmanna za człowieka czynu i przyszłości, jak długo Borkmann uważał go za poetę. Byli dla siebie tem, za co się uważali i w tem znajdowali ulgę i pociechę.

Jeśli ten stosunek, jaki zachodzi w przyjaźni między dwiema osobami, powstanie pomiędzy jednym a wieloma, między jednym a całym narodem, natenczas ten jeden stanie się duszą narodu, jego bohaterem, a suma potęgi narodu — jego potęgą.

Ale Ibsen nie przedstawia bohaterów, bo ci przychodzą raz na lat tysiące i szkoda tracić czasu na studja nad tak rzadkiemi zjawiskami, skoro dola miljonów daje dosyć powodów do zastanowienia.

To też osoby, działające w dramatach Ibsena, są zwykłymi ludźmi, którzy ulegają poczuciu potrzeby dążności do wielkich celów a brak sił zastępują gwałtem spełnianym na sobie i innych i upadają.

Wrażenie wielkości tych ludzi nie jest skutkiem ich działania, lecz jedynie skutkiem odblasku, jaki wielki cel, któremu się porwać dali, na nich rzuca.

Ibsen umie jednak tak ustawić przedmioty, blaskiem swoich celów oświetlone, że promienie trafiają do ciemnych kątów naszej duszy i z przerażeniem dostrzegamy tam potęgi, o których nie wiedzieliśmy i których nie znamy a które mogą porwać nas do wielkich celów i z braku sił roztrzaskać po drodze.

W takiem oświetleniu nabiera pozorów wielkości nawet zwykły defraudant, dyrektor banku i ogarnia nas współczucie dla tego, który tak wysoko dążył a tak nisko upadł i strach przed nieznanemi potęgami, które i w nas drzemią — i te uczucia składają się na uczucie grozy, którą wywołają dramaty Ibsena.

I czy to są elementarne potęgi, które w nas drzemią i którym jesteśmy na łup bez ratunku wydani, a czy jest jakie moralne rozwiązanie?

Odpowiedź na to pytanie daje Wilhelm Foldal, postać etycznie dodatnia, może sobowtór Ibsena, który pomimo, że stracił życie dla poetycznych urojeń, pomimo, że mu przyjaciel Borkmann cały majątek sprzeniewierzył, pomimo, że własne dzieci nim pogardzają a córka Fryda w pogoni za szczęściem depce jego serce, powiada: „A przecie nie na darmo byłem poetą!“ i cieszy się tem, co drudzy za najboleśniejszy cios uważają — ucieczką córki, bo przecie ona poszła tylko za swojem szczęściem.

A więc obrona przed wrogiemi potęgami, które w nas samych na nas czyhają, jest w wierności sobie i w oswojeniu się z tą myślą, że środkiem dla naszych celów my tylko jesteśmy, bo wszystko po za nami jest dla siebie własnym celem i własną przyczyną. Z tego punktu widzenia i Ella nie wychodzi z dramatu pokrzywdzona.

Borkmann, chcąc ją sprzedać, uczynił tylko swój sukces zawisłym od rzeczy niemożliwej, bo od przełamania moralnego prawa człowieka do rozporządzania sobą — i dlatego upadł. Ale prawu ludzkiemu do szczęścia nie odpowiada żaden obowiązek, więc i Borkmann, idąc za własnem przeznaczeniem, praw Elli nie ukrócił, bo był przecie dla sie-

bie nie dla niej, a jej w udziale pozostaje ta doza szczęścia, która jest w najgorszym razie każdemu przeznaczona, tj. ona pozostaje sama dla siebie

Z tego jedynie punktu widzenia możliwe jest etyczne rozwiązanie dramatu „Jan Gabrjel Borkmann“ Henryka Ibsena, a więc przypuścić trzeba, że ten punkt widzenia jest moralną tezą poety. Zapatrywanie to zresztą nie jest sprzeczne z etyką chrześcijańską, bo ta ostatnia czeków na szczęście na ziemi nie realizuje.

Dr. Franciszek Krzysik.

J. L. PEREC.

STUL USTA!

(Fantazja.)

Szare, ołowiane chmury przeciągają leniwie po nieboskłonie. Wiatr trzęsie konarami drzew, zdmuchując resztki liści pożółkłych. Nad ziemią już ostra przeszła kosa, pozostawiając tylko gdzieniegdzie pokrzywę. Ziemia naga, pusta.

Zimny dmie wiatr!

O tej porze zechciało się róży zakwitnąć na samotnym krzaczku, w otwartem polu! — Szkarłatem odziana, drżała niemniej i trzęsła się z zimna.

Z natężeniem całego zasobu sił, starała się wiotkimi listeczkami wciągnąć, wchłonąć odrobinę ciepła, światła!

Daremnie! Zapóźno!

Gdzie indziej o tej porze lato, gdzie indziej budzi się teraz nowe życie, nowe nadzieje, uciechy nowe, nowe rozkosze!

Gdzie indziej obecnie róże kwitną nowe, — tu natomiast wszystko zamierać musi...

Zima — anioł śmierci się zbliża.

Mróz — jej oddechem; jej tchnieniem — śnieg...

„Ach, Boże“ — szepce, łzy roniąc róża — zlituj się nademną!

Jestem w pełni młodości, pragnę tak bardzo życia! — Czemuż słońce przedemną w ukryciu?

— Czemu ma zima przed czasem mnie zmrozić a śnieg mnie całunem zaprószyć? Czyż moja w tem wina, żem się spóźniła?

Czemu mam umrzeć, nie używszy życia?

Czemu mam odejść bez promyka słońca, nie zaznawszy ani jednej dobrej, słonecznej chwili?“ —

„Stul usta!“ — zawył nagle rozsrożony wicher; zasypując żalącą się różę tumanem kurzu i zgniłych liści...

Żywcem ją pogrzebał.

(Przełożyła E. Rapaportowa).

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Wybór pism Anatola France* przełożył Jan Sten. Lwów. Polskie Tow. nakładowe. 1904. Bardziej ludzkiego pisarza, niż Anatol France, stary akademik francuski, trudnoby chyba odszukać na prędce. Bardziej ludzkiego, dobrego i przedewszystkiem bardziej smutnego. Dopiero po przeczytaniu książki w całości widać, że ta cała, dobra pobłażliwość dla ludzkiej duszy, skry dowcipu, a nawet uderzające paradoksem zdania, są niczem innem, jak tylko smutkiem, który się cicho rozlał, niby tafla stawu przy księżycu i... koi! Ale jak bardzo koi ludzkie cierpienie i jakiemi drogami! Duszą mędrca z Kapilawastu, sceptycyzmem Pyrrona z Elidy, brutalnością Flauberta, a nawet zbrodnią Cezara Borgji, miłosnym szałem Kleopatry i dobrą wolą Juljana Apostaty — wszystkiem koi Anatol France cierpiącą ludzkość dzisiejszą.

W przedmowie powiada tłumacz Anatola France'a p. Jan Sten, że książka jego stać się może najserdeczniejszym druhem tych wszystkich, którzy cierpią okrutnie, którym źle — bardzo. Uwierzyć w to snadnie, bo w istocie trudno rozstać się z temi kartami, gdzie mędrzec francuski tyle złożył pogodnej rezygnacji i kojącego smutku. Oto jeden z wielu obrazów: Myśliciel francuski wyobraża sobie, że biedna nasza mała ziemia, otoczona jest istotami eterycznemi, które są inteligentniejsze i łagodniejsze, niż te Elohimy, które według Renana, krążą koło namiotów koczującego Izraela. Jeden z nich, leżąc na kraju obłoku, zwraca ku ziemi swe oczy i nie widzi nic godnego podziwu w małych istotach, których ruchy bada. Nie jest wrażliwy ani na siłę mężczyzn, ani na piękność kobiet. Nie wzbudzamy w nim ani zachwytu, ani wstrętu, gdyż jego czysta myśl wznosi się z odrazą ponad pożądania. Śledząc nasze czyny, pozna, że są gwałtowne i podstępne i przerazi się ogromem zbrodni, zradzanych nieustannie wśród nas przez głód i miłość. I powie: „Złośliwe są to stworzonka. Wzajem się pożerając, tylko sprawiedliwość sobie czynią. Ale wkrótce spostrzeże, że cierpimy i wtedy przejrzy naszą wielkość. Wówczas zacznie szeptać: „Rodzą się ułomni, cierpiący, zgłodniali, skazani na wzajemne pożeranie się. A jednak nie wszyscy się pożerają. Widzę nawet wśród nich takich, którzy w wielkiej swej niedoli podają sobie ręce... Natura zrodziła zło — i to było bardzo źle; oni czynią dobro. Tego dobra jest niewiele, ale jest ono ich dziełem. Ziemia jest zła, jest nieczuła. Ale człowiek jest dobry, ponieważ cierpi. Wszystko, nawet genjalność swą wyhodował z bolu.“

F. J.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.